

DZIENNIK WILEŃSKI

Dodatek kulturalno-literacki

Wydawca:
Aleksander Zwierzyński

Jak wybuchła wojna r. 1870

Liczne dyktatury naszych czasów oraz stosowane przez dyktatorów metody przypominają ustawicznie Napoleona III, jego sposób dojścia do władzy, jego sprytne fałszowanie opinii publicznej, jego ryzykowną politykę zagraniczną, zewnętrzną świetność i wewnętrzną zgniliznę jego rządów. Stąd postać „Badinguet’a” wraca w jednej książce po drugiej i narzuca się uwadze czytającej publiczności.

Ujęcie tematu zależy niestety najczęściej od naprzd obranego stanowiska, czyli od uprzedzenia. Uprzedzenia te bywają podwójne. Albo idzie o analogię z czasami bieżącymi, wystylizowaną pod pewnym szczególnym kątem widzenia, albo o obronę jednej z postaci historycznych (czasem samego cesarza, czasem kogoś innego). Na ogół widać tendencję do pewnej rehabilitacji Napoleona Małego, który za życia nie miał szczęścia do literatów.

Wiktor Hugo piętnował go z całym właściwym sobie patosem jako nędznego szalbierza, który wyzyskał swoje nazwisko, wydał Francję na pastwę swych bojówek i swych kreatur. Anglik Kinglake przedstawił go równie ujemnie w swych dziejach wojny krymskiej. Pewien krytyk, będący zdania, że Napoleonowi III stała się krzywda, tłumaczy to faktem, że cesarz jednemu i drugiemu zabrał kochankę — Wiktorowi Hugo Francję, Kinglake’owi Miss Howard. Psychologię Napoleona próbował później, już z tendencją do rehabilitacji, skreślić Robert Browning w poemacie „Książę Hohenstiel-Schwangau, zbawca społeczeństwa”, zbyt trudnym i zawiłym aby mógł oddziaływać na szersze koła. Próbe zupełnej rehabilitacji mieliśmy niedawno i w Polsce.

Obecnie wyszły dwie angielskie książki, poświęcone temu tematowi. Krótka biografia Grahama Brooksa odznacza się tem, że jest jedynie przeglądem doskonale połączonych faktów historycznych. Autor umyślnie nie zajmuje żadnego stanowiska i ledwie czasem pozwala sobie na akord ironji, dowodząc, że nie należy on do wielbicieli Napoleona III.

Obszerna monografia Roberta Sencourta wyszła po raz pierwszy przed trzema laty. Zawiera dużo szczegółów i odznacza się dużą sztuką pisarską. Opisy bitw wbijają się w pamięć, a i obraz starego Paryża, przekształcającego się w nowy pod ręką Haussmanna, fascynuje czytelnika.

Sam charakter cesarza traktuje autor na podstawie prawa dziedziczności. Odrzucając wersję o jego nieprawym urodzeniu, widzi w nim połączenie napoleońskiej ambicji i talentu organizatorskiego z uczuciowością rodziny Beauharnais i z kochliwością jego matki, królowej Hortensji. Te sprzeczne żywioły nie mogły złożyć się na człowieka z jednej bryły i Ludwik Bonaparte był zlepkim przeciwieństw. Rządził przy pomocy tajnej policji i metod pro-

wokatorskich, a marzył o wolności; pragnął podnieść dobrobyt ludu, a wyrzucał miliony na dwór i świetne festyny; grabił majątek Orleanów, a dla swych ulubieńców był nad wyraz hojny; miał impulsy dobrego serca, a w polityce nie cofał się przed niczem; pod Solferino przypominał wielkiego stryja, pod Metzem jakiegoś generała z operetki; doszedł ostatecznie do najwyższego stopnia nieszczeroci. Podobno nie mógł wstrzymać się od szachrowania nawet przy pasjansie...

Może Sencourt bierze czasem za dobrą monetę to, co było tylko obłudnym gestem. W każdym razie można w ogólnych zarysach przyjąć jego charakterystykę cesarza. Natomiast książka ma inny błąd — autor jest zbyt wielkim wielbicielem cesarzowej Eugenii i z tego powodu zniekształca pewne fakty.

Wiadomo, że wybuch wojny r. 1870, a więc i katastrofę drugiego cesarstwa i klęskę Francji i hegemonię Niemiec na kontynencie europejskim, dla której zburzenia musiano za naszych dni przelać morze krwi, spowodowało głównie stanowisko Eugenii. Nie będąc Francuzką z urodzenia, była ona niesłuchanie drażliwa na punkcie francuskiego honoru narodowego i, gdy wybuchł zatarg o sukcesję hiszpańską, wteżyła cały swój wpływ w kierunku zmuszenia Prus do ukorzenia się lub do wojny.

Dotyczący epizod jest tak znamienity dla Francji Napoleona III i dla maskowanego absolutyzmu wogóle, że warto poświęcić mu bliższą uwagę.

Dobrze gotowe do wojny Prusy wahały się jeszcze, bojąc się bowiem zawiązań międzynarodowych. Przecież jeżeli wina wywołania starcia będzie zbyt

widocznie po ich stronie, Francja może znaleźć sprzymierzeńców. Wobec ks. Leopold Hohenzollern cofnął swe pretensje do tronu hiszpańskiego. Wydaje się, że przesilenie minie szczęśliwie.

12 lipca minister spraw zagranicznych Gramont składa wizytę ambasadorowi pruskiemu baronowi v. Werther i odbywa z nim dłuższą rozmowę. Król pruski zezwolił swemu kuzynowi zgłosić kandydaturę do tronu hiszpańskiego. Byłoby pożądanem, aby teraz w jakiś sposób okazał, że aprobuje również wycofanie się księcia Leopolda. Niema mowy o żadnym nacisku ze strony Francji. Lecz jakaś enuncjacja, może w formie listu naprawiałyby stosunki. Idzie tylko o pochwalenie kroku Leopolda i o pare wyrazów przyjaznych pod adresem zaniepokojonego sąsiada...

Baron v. Werther zachowuje dyplomatyczną rezerwę. W tej chwili jawi się sam premier Ollivier i zaczyna gorąco popierać prośbę Gramont’a, akcentując jednak wyraźnie, że idzie o dobrowolny akt kurtuazji. Aby uniknąć nawet pozorów groźby, rząd francuski prosi Werthera o podanie myśli królowi od siebie, zamiast powierzać sprawę berlińskiemu ambasadorowi Benedettiemu. Naturalnie Werther nie może nic obiecać, ale postara się, aby w Berlinie rozważono życzenia francuskie.

Wieczorem tegoż dnia odbywa się narada w St. Cloud. Gramont jest zaproszony, lecz premier Ollivier nawet nie wie, że rozstrzyga się sprawa wojny lub pokoju. Obecni są cesarz, cesarzowa i kilka jeszcze wpływowych osobistości. Po krótkiej dyskusji Gramont otrzymuje polecenie wysłania telegramu do Benedettiego, aby ten zażądał od króla pruskiego oświadczenia, że ten przyłącza się do cofnięcia kandydatury ks.

Leopolda i że na przyszłość nie pozwoli na jej ponowne postawienie.

Dalsze wypadki są znane. Bismarck wyzyskuje sposobność, fałszuje tekst depeszy emskiej, Paryż rozbrzmiewa okrzykami „Do Berlina!”, niedostatecznie przygotowana Francja rzuca się w tragiczny hazard, Rosja stawia nad granicą Austrii kilka korpusów, aby zapobiec jej wzmieszanu się w wojnę — i tak dalej aż do Sedanu, ucieczki Badinguet’a, upadku Paryża, komuny, traktatu Paryża, komuny, utraty Alzacji i Lotaryngji...

Wojnę spowodowano bez rady gabinetowej, bez wiedzy premiera, który w swym dziele *L’Empire Liberal* z oburzeniem pisze o 12 lipca 1870 r. i wspomina z jaką grozą dowiedział się o tem, co zaszło bez jego wiedzy.

Sencourt nie wierzy Ollivier’owi mówiąc, że przecież on sam wraz z Gramont’em tegoż 12 lipca był u pruskiego ambasadora i narzucał mu te same warunki. Jest to ze strony autora monografii widoczny brak dobrej wiar, bo warunki były właściwie inne. — Trzeba nadto pamiętać, że na radzie gabinetowej mówiono by zapewne szczerzej o stanie armji, niż na pare dni przedtem w parlamencie i może rozwinąłby złudzenia cesarza i cesarzowej, ostudząc ich zapal wojenny.

Sencourt ostatecznie przypisuje całą winę Ollivier’owi. To „jego niesprecyzowana konstytucja umożliwiła Gramont’owi fatalny krok bez przyjęcia odpowiedzialności właściwie względem nikogo”. Tymczasem wiadomo, że „liberalna konstytucja” Ollivier’a była owocem kompromisu między jego dążeniami, a absolutyzmem Napoleona III i jego doradców. Zresztą nawet z tej punktu widzenia przedsięwzięcie decydującej akcji na gruncie polityki zagranicznej bez wiedzy premiera stanowiło krok niekonstytucyjny i bezprawny.

A. F.

Niewidzialny a straszny wróg górnika

Od czasu do czasu szpalty dzienników wypełniają się krew mrozącymi opisami strasznych katastrof górniczych, w których nieraz setki ludzi tracą życie, przeprowadzając o rozpacz i nędzę swoich najbliższych. W ustawicznym lęku przed niewidzialnym a potężnym wrogiem płynie życie górnika i jego rodziny, oczekującej codziennie z niepokojem powrotu swego żywiciela i ojca z podziemnego warsztatu pracy. Tym strasznym wrogiem górnika — to gaz kopalniany.

Jak wiadomo pokłady węgla w głębi ziemi powstały dzięki wiekowemu procesowi zwęglania substancji organicznych, głównie roślinnych. Procesowi temu, odbywającemu się jeszcze i obecnie w pokładach węglowych, towarzyszy powstawanie i wydzielanie się gazów, zawierających w swym składzie węgiel, a w szczególności wytwarza się w dużych ilościach obok kwasu węglowego i tlenku węglowego, metan, zwany gazem błotnym, a przez górników gazem kopal-

nianym. Metan, którego cząstka jest zbudowana z atomu węgla i 4 atomów wodoru, jest gazem lżejszym od powietrza, bez barwy i bez zapachu, nie podtrzymującym palenia i oddechania, a w stanie czystym spalającym się spokojnym płomieniem. Jak widzimy srogi wróg górnika w stanie czystym, niezmieszany z powietrzem w ogólnych swych właściwościach jest zupełnie podobny do gazu świetlnego, mającego tak szerokie zastosowanie w naszym życiu. Z chwilą jednak, gdy wymiesza się z powietrzem, względnie gdy powietrze w kopalni zawiera 6—16% metanu powstaje wybuchowa mieszanina, która zapalona eksploduje, szerząc dokoła śmierć i zniszczenie.

Jak wspomnieliśmy, powstawanie i wydzielanie się gazów kopalnianych odbywa się i obecnie, będąc dowodem, że w niektórych pokładach węglowych proces zwęglania nie dobiegł jeszcze końca. Powstające gazy, wydzielając się z pokładów węglowych przedostają się do

chodników i szybów kopalnianych, gdzie miesząc się z powietrzem wytwarzają niebezpieczną mieszaninę wybuchającą przy łada nieostrożności.

W niektórych pokładach węglowych znajdują się wydrążone komory, wypełnione olbrzymią ilością gazów, pozostających zazwyczaj pod wysokim ciśnieniem. Gdy w pobliżu takiej groty przeprowadzi się w kopalni chodnik, to pod wpływem wysokiego ciśnienia gaz kopalniany przeciska się przez porowate ściany i wypełnia chodniki. Niekiedy w takich gazowych komorach ciśnienie gazu jest bardzo wysokie, stwierdzono np. w jednej z kopalni węgla, że wynosiło ono 32 atmosfer. Gdy ściany takiej komory nie są porowate i nieprzepuszczają gazów na zewnątrz, to wówczas może się zdarzyć, że ściana oddzielająca tę komorę od chodnika zostaje nagle wysadzona w kierunku najmniejszego oporu. Wyzwolony w ten sposób gaz z niezwykłą gwałtownością i niezmierną siłą ciska w głąb podziemnych korytarzy

złomy węgla, przemieniając je w pył, który wraz z gazem rozprzestrzenia się po kopalni. Te masy gwałtownie rozprężającego się gazu są niekiedy tak olbrzymie, że wypełniają całą kopalnię i przez szyby wydostają się na powierzchnię ziemi.

Powietrze w kopalni zawierające do 16% metanu przedstawia groźne niebezpieczeństwo wybuchowego pożaru. Wystarczy mała isierka, by wywołać katastrofalną eksplozję. Metan spala się w powietrzu niezwykle szybko, wydzielając obficie ciepło, wskutek czego następuje gwałtowne powiększenie objętości produktów spalania i przez kopalnię zaczyna się posuwać niszcząca fala wybuchu. Występują tu zatem identyczne działania, jak np. przy wybuchu dynamitu. Eksplozja gazu, jak eksplodujący dynamit niszczy i rozrywa wszystko dokoła: zabija ludzi, wyrzuca wagony kolejek, rozrywa chodniki i zamyka wyjścia, utrudniając w ten sposób dostęp i do tych części kopalni, które bezpośrednio katastrofą wybuchu nie zostały dotknięte. Odcleci w nich od świata górnicy giną niejednokrotnie z głodu, pragnienia i braku powietrza, oczekując nadaremnie na ratunek, przebijający się poprzez zwalę gruzów. I gdy przy samej eksplozji zginie nieraz kilku górników, to wskutek zasypania ginie ich nieraz setki.

Szczególnie gwałtowne są eksplozje gazów w chodnikach ślepych, zwłaszcza

gdy źródło eksplozji znajduje się przy samym końcu chodnika: korytarz kopalniany działa wtedy jak lufa armatnia.

Gdy eksplozja uciśnie, a temperatura gazów powstałych przy spaleniu obniży się, wówczas objętość ich gwałtownie maleje, wytwarza się w kopalni próżnia i następuje druga część katastrofy: przez otwory szybów wdiera się do głębi kopalni gwałtowny prąd powietrza z zewnątrz, znowu siejąc dokoła spustoszenie.

Ale i nie na tem koniec.

Produktami spalania gazu kopalnianego są para wodna i kwas węglowy, przyczem ten ostatni uniemożliwia oddychanie. Duże jego ilości zatamowując powietrze, znowu szerzą śmierć wśród górników, którym udało się uniknąć bezpośrednich skutków wybuchu.

Eksplozje gazów w kopalniach należą do najstraszniejszych nieszczęść, prześladowających górników i to nie tylko w kopalniach węgla, ale i w kopalniach soli i siarki.

Jak człowiek broni się przed tym groźnym wrogiem?

Najstarszym sposobem zwalczania klęski gazu kopalnianego było jego wypalanie, przez wywoływanie sztucznych, o słabej sile eksplozji. Dokonywali tego specjaliści „fachowcy” zwani „pokutnikami”. Przełomowym jednak w tej dziedzinie był wynalazek genialnego Anglika Sir Humphrey Davy'ego, który skonstruował w r. 1815 t. zw.

„lampę bezpieczeństwa”, Davy'ego, różniącą się od zwykłych lamp olejowych tem, że płomień jej jest ograniczony od powietrza zewnętrznego gęstą siatką metalową, zawierającą 14½ oczka na centymetr kwadratowy. Urządzenie to zapobiega przedostaniu się płomienia z wnętrza lampy na zewnątrz, ponieważ siatka metalowa, będąca dobrym przewodnikiem ciepła, szybko rozprzodza ciepło, obniżając temperaturę gazowej mieszaniny wybuchowej poniżej jej punktu zapłonu.

Lampka Davy'ego ostrzega również górników przed niebezpieczeństwem: w razie obecności gazu wybuchowego płomień jej płonie żywo, a nawet w wnętrzu następuje eksplozja.

Obok lampki bezpieczeństwa stosuje się do walki z gazem, silne przewietrzanie kopalni, wskutek czego niebezpieczny metan wydostaje się z kopalni na zewnątrz.

Oczywiście wprowadzenie do kopalń elektryczności było dalszym bardzo ważnym czynnikiem, zmniejszającym niebezpieczeństwo eksplozji.

Ale wszystkie te urządzenia (trudno je tu wliczyć wszystkie) zmniejszają jedynie groźbę kataklizmu, który od czasu do czasu, mimo wszystkie usiłowania porwra ofiary z życia ludzkiego, jakby chcąc w ten sposób zadokumentować potęgę sił przyrody, z takim mozołem przez nas ujarzmianych.

—o—

cy, na Formozie około 200 tysięcy, w Mandżurji również około 200 tysięcy, a na Korei około 500 tysięcy. Razem zatem około miliona, — a więc mniej, niż wynosi naturalny przyrost ludności w ciągu jednego roku.

Problem przeludnienia Japonji staje się równie piekącym jak trudnym do rozwiązania. Prawda, Japończyk nie jest wymagającym i umie się zadowolić małym; wystarczy mu parę garstek ryżu na całodzienne pożywienie. Ale i te parę garstek trzeba wyprodukować w kraju, — o ile nie chce się sprowadzać go z zagranicy. I trzeba ów ryż dać wszystkim, o ile chce się uniknąć groźnej katastrofy.

Tedy rząd japoński, pod hasłem autarkji ekonomicznej, opracował zakrojony na szeroką miarę plan stworzenia i rozwinięcia przemysłu narodowego, z perspektywą ekspansji ekonomicznej.

Na tej drodze można będzie nadwyżką bilansu handlowego, płynącą z eksportu, obrócić na zakupno i import tych artykułów żywnościowych, których brak na miejscu, a które są niezbędne do wyżywienia 65-miljonowej ludności.

Plan ten dało się zrealizować tem łatwiej, ile że w roku 1931 dewaluacja yena (40 proc. w stosunku do funta szterlinga) pozwoliła skutecznie konkrować towarom japońskim na rynkach zagranicznych.

To też w ciągu ostatnich lat przemysł japoński doszedł do stadium olbrzymiego rozwoju.

Jedyny jednak, a ważny szkopuł stanowi brak potrzebnych surowców. I dopiero pod tym kątem widzenia zrozumiałem się staję, czemu w ciągu ostatnich dwudziestu lat zajmuje Japonja zbrojną ręką lub anektuje takie olbrzymie tereny jak Korea, Mandżurja, a ostatnio chińską prowincję Jehol.

Bo oto Jehol i Mandżurja posiadają olbrzymie bogactwa przyrody: urodzajną ziemię, nadającą się do uprawy zbóż, olbrzymie pokłady rudy żelaznej; — bo w Mandżurji a po części i w Korei można uprawiać bawełnę, którą dotychczas musiała Japonja sprowadzać głównie z Indji. Bo wreszcie w Mandżurji projektowana jest hodowla na wielką skalę owiec, celem zapewnienia fabrykom japońskim wełny krajowej.

Plan to, zakrojony na wielką skalę, wymagający szeregu lat do zupełnego zrealizowania. A niewątpliwie napotka on na liczne i poważne przeszkody ze strony innych państw, przede wszystkim Anglii, której pozycja na rynkach Wschodu już dzisiaj skutkiem ekspansji japońskiej jest poważnie zagrożona.

I jeżeli Anglia wraz z kolonjami, jeżeli Stany Zjednoczone i kolonie holenderskie odgradzą się barjerami celnymi od Japonji, kładąc tamę tej ekspansji ekonomicznej, jak już poprzednio zahamowano emigrację japońską, — sytuacja państwa „Wschodzącego Słońca” stałaby się wręcz groźna.

Na szczęście pozostaje jej jeszcze najbliższy sąsiad, Chiny, przedstawiający olbrzymie, a niewyzyskane dotychczas należycie, pole zbytu. I jeżeli w ostatnich latach, skutkiem tarć politycznych i akcji militarnej Japonji w Chinach, eksport japoński znacznie się zmniejszył, — to jednak nie ulega wątpliwości, że w niedługim czasie stosunki handlowe wrócą do dawnej normy, Chiny bowiem zbyt silnie są związane i zbyt zależne od handlu i przemysłu japońskiego, by zdołały się uwolnić od tej supremacji ekonomicznej swego sąsiada.

(R.)

„Żółte niebezpieczeństwo”

Od niejakiego czasu zaczynają się na rynkach europejskich dziać dziwne rzeczy.

Oto w Sheffield, gdzie mieszczą się słynne fabryki, zaopatrujące w noże całą Anglię — pojawiają się noże obcej proveniencji, wyrobione z najlepszej stali a kosztujące o połowę taniej od fabrykatów angielskich.

Oto w Belgii, posiadającej słynne fabryki rowerów, dostać można rowery obcej marki, równie dobrze po 35 franków za sztukę.

W ojczyźnie zegarów i zegarków, w Szwajcarii, oferuje się zegary po cenie 36.— franków szwajc. za kilo; w Holandji, gdzie znajduje się centrala fabryk Philipsa, — żarówki elektryczne co najmniej równej jakości, jednak importowane, sprzedaje się o 30 centimów taniej na sztuce, niż żarówki Philipsa.

A małe żarówki do latarek kieszonkowych, które fabryki niemieckie oferują po pięć fenigów, — dostać można już po cenie 2 fenigów sztuka — sprowadzane z zagranicy.

Wszystkie te i setki innych artykułów pochodzą z jednego wspólnego źródła: z Japonji.

Przemysł japoński stanął do konkurencji na rynkach światowych, przyczem, — rzecz charakterystyczna, — konkurencja ta dotyczy przede wszystkim artykułów, stanowiących dotychczas niejako monopol i specjalność każdego z odnośnych krajów.

Tej samej metody trzyma się Japonja w stosunku do innych części Świata. A więc w Stanach Zjednoczonych zabawki japońskie wypierają zwycięsko towar niemiecki, dotychczas niemal bez konkurencji. W Kanadzie rzuca Japonja masowo na rynek wyroby kauczukowe z fabryki w Singaporze, stanowiącej własność Japończyków, — konkurując zwycięsko z wyrobami wielkiej fabryki Canadian Goodrich Comp. W Indjach,

gdzie jeszcze w roku 1912 Anglia w 98% pokrywała zapotrzebowanie na wyroby bawełniane, — w roku 1931 już 44% importu przypadło na wyroby japońskie.

I o ile konkurencja ta, zwłaszcza w Europie i w Ameryce północnej, dzięki wysokim cłom ochronnym, nie przedstawia na dłuższą metę poważniejszego niebezpieczeństwa, a osiągnięte przez przemysłowców japońskich sukcesy mają znaczenie raczej psychologiczne, moralne, — to na Dalekim Wschodzie, na wybrzeżach Pacyfiku, Oceanu Indyjskiego, od Australji aż po morze Czerwone i wschodnie wybrzeża Afryki, towar japoński zdobywa coraz szersze pole zbytu, wypierając coraz skuteczniej produkty angielskie.

Jeżeli tedy mówimy o „żółtem niebezpieczeństwie” na polu ekonomicznym, — to mamy tu na myśli przede wszystkim Anglię, najpoważniej w tym wypadku zagrożoną.

Jakie są przyczyny i jakie podłoże tej gwałtownej ekspansji ekonomicznej Japonji?

Najpierw kilka cyfr statystycznych. W roku 1879 Japonja liczyła 35½ miliona ludności, — w dwadzieścia lat później 44 miliony; w roku 1914 doszła do cyfry 54 milionów, obecnie zaś przekra-

cza już liczbę 65 milionów.

Naturalny przyrost ludności, wyrażający się w roku 1873 cyfrą 24 od tysiąca, — doszedł w roku 1930 do 34.4 od tysiąca.

Gdzie pomieścić i czem żywić te 65 milionów ludzi? Biorąc pod uwagę samą Japonję (bez Formozy, Korei, Sachalinu, Mandżurji i Jeholu) dojdziemy do przekonania, że wykazuje ona gęstość zaludnienia 171 ludzi na kilometr kwadratowy!

Co prawda z państw europejskich jeszcze wyższą gęstość zaludnienia wykazują Belgja (259), Holandia (223) i Anglia (182), — ale są to państwa wysoko uprzemysłowione i posiadające ogromne kolonie.

A jak wygląda emigracja w Japonji? Dziś prawie wszystkie państwa świata zamknęły swe bramy przed emigracją japońską — i wedle ostatnich statystyk nie więcej jak 700—800 tysięcy Japończyków żyje poza granicami swej ojczyzny, — w czem około 300 tysięcy w Azji, reszta w Ameryce i na Oceanji.

Pozostaje jeszcze sprawa kolonizacji „wewnętrznej”, tj. na terenach zdobytych lub anektowanych przez Japonję począwszy od roku 1895.

I tutaj emigracja nie przybrała znaczniejszych rozmiarów: ilość Japończyków na Sachalinie oceniają na sto tysięcy.

O Codex Synaiticus

Arceybiskup Synaj zwrócił się do Muzeum Brytyjskiego które nabyło od Sowieców sławną Biblię z IV w., znaną jako *Codex Synaiticus*, z żądaniem zwrotu cennej księgi jako nieprawnie posiadanej przez Rosję. Obecnie udzielił on wywiadu przedstawicielowi Reutera. Może udowodnić autentyczną korespondencją, że akt darowizny ze strony klasztoru w Synaj został niegdyś wymuszony przez carską Rosję groźbą konfiskaty dóbr należących do klasztoru, a położonych w Besarabji. Z tego powodu również musiał zaaprobować te doro-

wiznę jego ówczesny poprzednik. Arceybiskup nigdy nie zrezygnuje ze swych praw i jest gotów wytoczyć sprawę przed sąd angielski. O odpowiedzi, jaką na swój telegram dostał od zarządu Muzeum Brytyjskiego, wyraził się z przekąsem: „Nie spodziewałem się rady, abym zwrócił się do Sowieców. Przecież już tego próbowałem”.

Jak wiadomo, za *Codex Synaiticus* zapłacono 100 tys. funtów sterlingów. Muzeum Brytyjskie stoi na stanowisku, że w żadnym razie nie może być odpowiedzialne za sposób nabycia drogiej księgi przez Rosję.

Jak zbadano Niger

Przed kilku tygodniami wyszedł tu zyciorys podróżnika szkockiego, który pierwszy zbadł bieg Nigru. O istnieniu rzeki wie już coś Herodot, ale dwudziestu kilku wieków było trzeba do ustalenia przez Europejczyków pewnych faktów co do niej. Że płynie na wschód, wiadano, ale często uważano ją za dopływ Nilu, to znów twierdzono, że gubi się ona w piaszczach pustyni. W drugiej połowie XIX. stulecia dotarł do Timbaktu Ibn Batuta i odbył krótką podróż Nigrem. W roku 1790 wybrał się na odkrycie ujścia rzeki angielski major Daniel Houghten, lecz zginął, zanim do niego dotarł. W kilka lat po nim przedsięwziął szczęśliwszą wyprawę Mungs Park.

Jego biograf, Lewis Granie Gibbon, nie mógł wyzyskać wszystkich źródeł. Wspomina o korespondencji, którą dał mu do przeczytania, nie rozwalając ani z niej skorzystać, ani nawet wymienić, w czyich rękach się znajduje. Nadto metoda Gibbona nie jest bez zarzutu. Używa on często najniepotrzebniej ironicznego tonu, wyszydając np. religijność Parka lub jego czułość na niedolę ludzką. Z tem wszystkim książka daje dobry obraz podróży dzielnego Szkota, który postanowił sobie zbadać i opisać Niger. Okazał w tem przedsięwzięciu niesłychaną wytrwałość, a w drugiej swej wyprawie dotarł prawie do delty Nigru.

Park wybrał się do Afryki w roku 1795, obierając drogę od ujścia Gambji, a później korzystając z pomocy handlarzy niewolników. Dostawszy się na pustynię, posuwał się naprzód z wielkim trudem. Stracił konia i dwóch niewolników, którzy mu towarzyszyli, a rzeczy, jakie posiadał, a nawet ubranie, jakie miał na sobie, obracał kolejno na prezenta. Co kilka dni przybywał do nowego państwa, a pierwszym warunkiem tolerowania przybyścia przez króla murzyńskiego są dary. Park miał na sobie niebieską kapotę z błyszczącymi guzikami. Obcinał jeden po drugim i ofiarowywał je afrykańskim monarchom, to znów zapłacił kilkomu murzyńkom za wskazanie drogi. Bardzo wymagającym był król Bondu. Trzeba mu było oddać i samą kapotę i parasol.

Park powędrował dalej w kamizelce, pozbawionej guzików prócz jednego. Ten ściągnął uwagę zbójców, którzy napadli przedsiębiorczego Szkota w Kuina. Ocięli guzik i zabrali, ale namyśliwszy się, ściągnęli z ofiary i kamizelkę. Wogóle obdarli go do naga, dając w zamian dwie szmaty. Park błagał tylko aby mu oddano kapelusz i stało się zadość jego życzeniu. Był to wypadek bardzo szczęśliwy, bo zaszył tam notatki.

Emir Lukmaru uwięził podróżnika, który spędził kilka miesięcy wśród cierpień fizycznych i moralnych. Ludność bawiła się nim okrutnie, szydząc z białego człowieka, kopiąc go i plując na niego. Do jego chatki zapędzono świnie, zwąc je chrześcijańskimi zwierzętami. Kobiety były jeszcze gorsze od mężczyzn. Wyglądniały, poranione, osłabione. Park ani razu nie wypadł z równowagi, aż uwolniony, powędrował dalej na wschód, nagi i bezbranny.

I teraz szczęście odwróciło się. Lwy i wilki uciekały przed białym człowiekiem, to samo przeważnie czynili murzyni. Nie którzy jednak traktowali podróżnika życzliwie. W pewnej wsi kobiety ułożyły pieśń o nim:

Wichry wyły i deszcze padały.
Biedny biały, słaby i znużony.
Przyszł i siadł u nas pod drzewem.
Nie ma matki, by mu dała mleka,
Nie ma żony, by dlań męła zboża.

Chór:

Ulitujmy się nad białym człowiekiem,
Biały człowiek przecie nie ma matki.
Jakiś murzyn z innej wsi ostrzygi

Parkowi pół głowy, aby włosy zużytkować w celach czarodziejskich. Inny nakarmił go, żądając zato jakiegoś przedmiotu, który posłużyłby do zamówienia choroby. Park napisał mu na tabliczce za kłecia. Murzyn zmył atrament i wypił go z wodą, a dla wszelkiej pewności wylizał jak najsumienniejszą tabliczkę.

21 lipca 1796 dotarł Park do Sego i jako pierwszy Europejczyk ujrzał Niger. Wracając inną drogą, kierując się na południe. Przeszedł przytem znów szereg niebezpieczeństw i byłby prawdopodobnie zginął, gdyby nie handlarz niewolników Karfa, który przyjął go do swojej karawany. Park miał sposobność napatrzeć się na okrucieństwa, jakich dopuszczali się kupcy „czarnej kości słoniowej”. Opowiada, że gdy pokasana przez pszczoły dziewczyna nie mogła iść, popędzano ją batem, ale następnego dnia, przekonawszy się, że prawdopodobnie umrze wkrótce, obdarł ją do naga i w łańcuchach zostawiono na samotne skonanie. Mimo

to Park odmówił później udziału w ruchu za zniesieniem niewolnictwa. Za wiele zawdzięczał Kafirze i jego kolegom.

Wróciwszy w roku 1797 do Szkocji, Park spisał dzieje swej wyprawy, ożenił się i osiadł w Peebles jako lekarz. Potem. Był już ojcem czwórki dzieci, gdy wybrał się ponownie do Afryki. Postanowił ujrzeć i opisać cały bieg Nigru aż do ujścia.

Tym razem poczynił gruntowną przygotowania i wyruszył na czele licznej ekspedycji. Miał z sobą lekarza, 35 żołnierzy, dwóch marynarzy, oficera artylerji i czterech cieśłów. Niestety jeden po drugim z tych ludzi ulegał zabójczemu klimatowi.

Dotarł po czterech miesiącach do Nigru, lecz tylko w kilkunastu ludzi. Jedyny pozostały cieślak zbudował mały statek, który ochrzczono Joliba i spuszczone na wodę, aby płynąć z prądem. Raz po raz atakowali podróżników murzyni na

swych lekkich łódkach, lecz uciekali przed ogniem armatnim.

Król krainy Hussa wpadł we wściekłość, dowiedziawszy się o przybyciu cudzoziemców, którzy nie prosili go o pozwolenie podróży i nie złożyli żadnego daru. Wysłał więc zbrojnych ludzi celem urządzenia zasadzki w miejscu, gdzie rzeka była bardzo wąska. Joliba wpadła podczas walki na skałę, a dżicy skorzytali z momentu zamieszania i dopadli statku, strzelając z łuków i rzucając włóczniami. Dwaj ostatni biali ludzie rzucili się do rzeki i zginęli w jej falach. Tylko jeden niewolnik uszedł z życiem.

Tak spełniła się zła wróżba, jakiej Park doznał podczas ostatniej przejażdżki konnej w towarzystwie Scotta. Król podróżnika, mającego wkrótce odpłynąć do Afryki potknął się, a poeta rzekł: „Obawiam się, Mungo, że to zły omen”. — „Złe wróżby sprawdzają się na ludziach, którzy na nie zwracają uwagę”, odparł Park. Lecz omen sprawdził się podczas wyprawy.

A. E.

0 „raku smołowym”

Jaka jest właściwa geneza raka, tej groźnej choroby, z którą dotychczas bezskutecznie walczy medycyna, — dotychczas nie zdołano ustalić.

Istnieją na tym punkcie rozmaite teorie, z których jako najpoważniejsza utrzymuje się dotychczas teoria Virchowa, w myśl której powstawanie tego złośliwego nowotwora jest wynikiem stałego i długotrwałego drażnienia organizmu, czyto przez jakieś czynniki chemiczne lub termiczne, czy poprostu drogą mechaniczną. Na poparcie tej teorii przytacza się cały szereg faktów znanych doskonale lekarzom, a więc: rak wargi dolnej u ludzi palących fajki, zmiany rakowe na skórze rentgenologów, rak ust u ludzi żujących betel, — i wreszcie „rak smołowy”.

Ten ostatni występuje u ludzi, mających stale do czynienia ze smołą, a właściwie, ściślej mówiąc, z mazią pogazową, otrzymywaną jako produkt uboczny

przy fabrykacji gazu świetlnego.

Z drugiej zaś strony stwierdzono na podstawie licznych doświadczeń przeprowadzonych na zwierzętach, iż przez systematyczne drażnienie smołą można u zwierząt tych w miejscu drażnienia wywołać powstanie zupełnie typowego raka „smołowego”, nie różniącego się niczem od „normalnego” raka, ani pod względem budowy anatomicznej, ani złośliwości i zdolności tworzenia przerzutów.

Fakt ten zdaje się w bardzo silnym stopniu potwierdzać trafność teorii wysuniętej przez Virchowa.

Oczywiście liczni uczeni, zainteresowani temi eksperymentami, podjęli badania, celem stwierdzenia, które to specjalne składniki mazi pogazowej uważałyby należało za czynniki wywołujące raka.

Destylując maz pogazową otrzymuje

się, zależnie od temperatury, w jakiej odbywa się destylacja, cały szereg rozmaitych „olejów”, z których frakcję, wrzącą w temperaturze najwyższej, bo ponad 270° stanowi tzw. olej antracenyowy.

Otóż niedawno dwaj uczeni angielscy, Cook i Kenneway zdołali z oleju antracenyowego uzyskać szereg węglowodorów w stanie chemicznie czystym (antracen i fenatren), które aplikowane szczurom i myszom we formie zastrzyku lub pędzlowania skóry, wywołały typowe objawy raka, z przerzutami w gruczołach, płucach itp. Co więcej, rak wywołany sztucznie tą drogą, daje się przeszczepić na zdrowe zwierzęta.

Doświadczenia te, same w sobie już bardzo interesujące, nabierają jednak szczególnej wagi w związku z innemi faktami. Oto antracen i fenatren posiadają tę samą budowę chemiczną, mianowicie tzw. rdzeń fenatrenowy, jaki znajdujemy między innemi we witaminie D, w kwasach żółciowych, cholesterolu i w innych związkach chemicznych, mających dla organizmu ludzkiego pierwszorzędne znaczenie biologiczne.

Nasuwa się tedy pytanie, czy które z tych ciał — przy pewnych warunkach — nie może przetworzyć się w substancję, dla organizmu szkodliwą, bo mogącą wywołać raka.

Nie wdając się w szczegóły, zrozumiałe i dostępne tylko fachowcom, zaznaczmy muśmy, że ostatnie badania Cooka i Doddsa udowodniły teoretycznie możliwość podobnej przemiany. Dodds bowiem zdołał drogą syntezy uzyskać z mazi pogazowej (a więc z ciała nieorganicznego) węglowodór o właściwościach wybitnie rakotwórczych, a zbliżonych zarówno w składzie chemicznym jak i w działaniu do jednego z ważnych hormonów organizmu ludzkiego, folikuliny.

Doświadczenia te nie rozwiązują jeszcze definitywnie zagadnienia powstawania raka u ludzi. W każdym jednak razie pozwalają na wysunięcie uzasadnionego wniosku, że i w organizmie ludzkim, pod wpływem takich czynników jak np. promienie ultra-fioletowe lub promienie radu mogą zachodzić pewne przemiany, podobne lub analogiczne do tych, jakie Dodds zdołał wywołać w swych doświadczeniach chemicznych.

(kr.)

Ciekawostki ze świata

Z paryskiego rynku obrazów

Ceny dzieł sztuki spadły w Paryżu ogromnie w ciągu kryzysu. Obrazek, za który brano przed kilku laty 10 tysięcy fr. kosztuje dzisiaj zaledwie kilkaset i jeszcze trudno o nabywcę. Jedna z gazet przynosi następującą historję, która ma być prawdziwa:

Pewien malarz oddał handlarzowi sztukę obraz, upoważniając go do sprzedaży za każdą cenę ponad 200 fr. (70 zł.). Po jakimś czasie handlarz uwiadamia artystę, że jest amator, lecz ofiaruje tylko 150 fr. „Nie mógłby pan zagrać na jego ludzkich uczuciach? Niech mu pan powie, że jestem ciężko chory, że umieram!” rzekł malarz. Po paru godzinach handlarz doniósł, że ów mecenas sztuki zmniejszył swą ofertę do stu franków. — „Jak to? Nie powleczaj mu pan, że jestem konający?” — „Właśnie uznał, że w takim razie odpada nadzieja, aby pan dalej malował, zdobył sobie imię i przez to wzrosła cena tego obrazu.”

Koty stambulskie

Niegdyś słynął Konstantynopol, a raczej, jak dziś brzmi oficjalna nazwa, Stambuł z obfitości psów bejski. Dzisiaj taką samą plagą są koty, gnieźdzące się głównie w ruinach spalonych i nieodbudowanych dzielnic. Dziesiątki tysięcy tych zwierząt oddała mieszkańcy corocznie towarzysztwu opiekę nad zwierzętami na

śmierć bezbolesną mimo tego liczba kotów jest coraz większa i przewyższa obecnie cyfrę ludności. Obliczono też, że na jednego psa przypada co najmniej 20 kotów.

Konsultacja na granicy

Wioska bawarska Suchang leży na granicy austriackiej części Tyrolu. Niedawno zachorowała jednemu z wieśniaków krowa. Najbliższy weterynarz mieszka w Austrii, ale za paszport płaci się 1000 marek niemieckich (z górą 2000 zł.). Pomysłowy właściciel krowy z atelefonował jednak do weterynarza i nastąpiła konsultacja, przy której ściśle przestrzegano, aby nikt nie przekroczył terytorium swego państwa. Weterynarz był na ziemi austriackiej, krowa na niemieckiej. Honorarium w markach niemieckich podano również z odpowiednią ostrożnością.

Anegdota jest zabawna, lecz należy podejrzewać, że zmyślono ją w celu propagandy Anschlusu.

Cichy ślub

Gazety doniosły niedawno o najcichszym ślubie, jaki odbył się w panującej rodzinie. „Królowa Alja poprostu opuściła dom ojca i zamieszkała w pałacu króla Iraku”.

Czy wąż morski jest tylko legendą?

W wszelkie opowieści o węzu morskim przyłmnie się zasadniczo z pobłażliwym niedowierzaniem. Utało się już bowiem ogólne przekonanie, iż legendarny ten potwór wyłgał się pewne, pięknego poranka w fantazji dziennikarza, by co pewien czas — zwłaszcza w okresie kanikuly — pojawiać się regularnie na szpaltach dzienników.

A zatem — bałki, legenda? Pamiętać jednak trzeba, że każda legenda ma swoje pierwotne źródło w jakimś realnym, rzeczywistym fakcie, może z biegiem lat odpowiednio tylko opracowanym, czy przerobionym. A legend na temat węża morskiego spotykamy tyle w tak rozlicznych wariancjach, iż mimo woli dochodzi się do przekonania, że muszą one mieć jakiś realny podkład.

Reprodukcje węża morskiego — czasem zupełnie naiwne — spotkać można na starożytnych monetach fenickich, równie dobrze jak na meksykańskich rzeźbach czy wazonach japońskich lub haftach anamickich. I co ciekawsze: wszystkie te rysunki w głównych zarysach są do siebie zupełnie podobne.

Ciekawsze jeszcze są opisy tego legendarnego potwora, opisy sporządzone przez ludzi zupełnie wiarygodnych, którzy widzieli go na własne oczy.

Około roku 1550 arcybiskup Upsali, Olaus Magnus opisuje go jako zwierzę, mierzące około dwustu stóp długości, pokryte grubą łuską. W roku 1656 pastor protestancki Mikołaj Gramins opowiada, iż widział węża morskiego, kiedy na drodze do morza przewracał i niszczył spotykane po drodze drzewa i chaty.

Zagadnienie istnienia węża morskiego zainteresowało wybitnego uczonego, dyrektora król. Towarzystwa zoologicznego w Hadze, dr. J. Oudemans'a, który w roku 1892 wydał w Londynie duże dzieło p. t. „The Great Seaserpent”.

W dziele tem zebrał on kilkadziesiąt obserwacji poczynionych w okresie czasu od 1522 do 1890 roku. Zgóry odrzucił wszystkie wypadki wątpliwe, ograniczając się tylko do notowania spójnych, poczynionych przez osoby poważne i zasługujące na wiarę.

Tak więc w roku 1819 „United Service Journal” podaje, iż cały szereg osób na plaży w Nahant zauważył pływające po morzu jakieś olbrzymie zwierzę o wydłużonym cielsku, a ruchach przypominających węża lub węgorza.

Dnia 6 sierpnia 1848 kapitan i oficerowie fregaty „Doedalus” spostrzegali w pobliżu Przylądka Dobrej Nadziei jakieś olbrzymie zwierzę, z kształtu podobne do węża, pływające na powierzchni morza ruchem falistym.

Podobne zupełnie spostrzeżenia notuje niejaki John Parsons, kupiec z Albany, który znajdując się wraz z kapitanem parowca „Lotta” na mostku komendancim, zauważył wylaniający się nagle z morza olbrzymi łeb jakiegoś potwora, o cielsku grubszym od komina okrętowego.

Porucznik francuskiej marynarki wojennej Lagrèsille, komendant kanonierki „Avalanche”, notuje dwukrotnie w dzienniku okrętowym, iż w roku 1897 i 1898, w pobliżu zatoki Along, spostrzegł pływające na morzu obok siebie dwa olbrzymie zwierzęta, długości około 20 metrów, posuwające się po powierzchni wody ruchem węzowym. Jak stwierdziła zgodnie cała załoga kanonierki, potwory te posiadały duży owal-

ny łeb, a na grzbiecie sterczące ostre kości kręgosłupa.

W temże samem prawie miejscu spotyka znów węża morskiego w r. 1904 komendant francuskiej kanonierki „la Decidée”, a w parę dni po nim komendant krążownika „Chateau Renault”. Opisy owego potwora są niemal identyczne.

Od tego czasu wiadomości o pojawieniu się węża morskiego powtarzają się coraz częściej. Widziano go i w pobliżu Brazylii i na Oceanie Indyjskim w Kanale Mozambickim.

Co więcej: w roku 1868 na wybrzeżu Orkadów zaś w marcu 1893 na odludnej wyspie Suwarowa, marynarze przepływających tamtędy okrętów zaużyli leżące na brzegu ciała jakichś

dwóch nieznanych zupełnie zwierząt, długości około 20 metrów, a przypominających kształtem jakieś olbrzymie węże.

Ciała te jednak znajdowały się już w stadium zupełnego rozkładu, a bijący od nich nieznosny odór był tak silny, że niepodobna było podejść bliżej i zbadać dokładnie owe dziwne zwierzęta.

Czy zatem wąż morski rzeczywiście istnieje? Zdaniem uczonych zoologów jest to rzeczą zupełnie możliwą. Wąż morski, — taki jakim przedstawia się w opisach i rysunkach ludzi, którzy go widzieli, — nie ma w sobie absolutnie nic monstrualnego. Budową ciała przypomina jakiegoś olbrzymiego węgorza. Co się zaś tyczy jego olbrzymiej wiel-

kości, — to ostatnie lata dowodzą, iż głębiny morza kryją w sobie przeróżne potwory o wymiarach gigantycznych niekiedy. Nasza technika rybołówcza nie pozwala nam dotrzeć do tak znacznych głębokości — i tem się tłumaczy, że dotychczas o tych potworach głębin morskich mamy bardzo słabe i ogólnikowe tylko pojęcie. Czy jednak nie jest rzeczą możliwą, iż któryś z tych potworów wynurza się od czasu do czasu na powierzchnię wody? A przygodne obserwacje poczynione przy tej sposobności, — dziwnie ze sobą zgodne, — każą wnioskować, że legendarny „wąż morski” nie jest tylko fantastyczną legendą...

(R.)

Twierdza krzyżowców

Tylko człowiek, pozbawiony dokładniejszych wiadomości o średniowieczu, może wyobrazić je sobie jako okres panowania brutalnej siły. Nawet sztuka wojenna stała wysoko i istnieją godne uwagi analogie między ówczesnymi a dzisiejszymi metodami. Jak obecnie, odpowiednie uzbrojenie dawało przy umiejętności jego użycia olbrzymią przewagę. Wysoko też stała sztuka fortyfikacyjna. I nie należy jej lekceważyć z tego powodu, że nie znano prochu. Trudniej wprawdzie było burzyć mury, ale też łatwiej było podsuwać się pod nie, skoro broniły ich nie armaty i karabiny, lecz łuki, kusze i maszyny do rzucania pocisków.

Niewiele zachowało się twierdz z w. XII i XIII, w których sztuka wojenna średniowieczna doszła do szczytu. We Francji najwspanialszym zapewne okazem był Chateau Gaillard, wzniesiony przez Ryszarda Lwie Serce nad Sekwaną w Andelys i zwany przez niego ukochanym dzieciem, a wydarty później jego bratu, Janowi Bez Ziemi, po homeryckim iście oblężeniu przez Filipa Augusta. Za Chateau Gaillard poszła wkrótce cała Normandia. Potężne zaręczysko doczekało XVII stulecia, aby paść ofiarą polityki kardynała Richelieu, który konsekwentnie łamał wszystko,

co mogło i przeciwstawić się absolutyzmowi monarchemu. Pozostały jedynie schrony, wykute w skałach i garść ruin.

Francja nie posiada dziś na własnym terytorjum dobrze zachowanej warowni z tego czasu, lecz otrzymała ją przynajmniej w Syrii, którą zarządza na podstawie mandatu Ligi Narodów. Niedawno ofiarowano Republice na własność t. z. Krak des Chevaliers (Krak oznacza w języku arabskim twierdzę).

Od pierwszej wyprawy krzyżowej istniało w Syrii królestwo rycerstwa łacińskiego ze stolicą w Jerozolimie. Później Jerozolima uległa naporowi Seldżuków, ale zmniejszone państwo trwało dalej i dzielnie broniło się do początków XIII w., zasilane zastępami krzyżowców, które nieraz odnosili zwycięstwa, ale nie mogły odwrócić losu. Obronę terytorjum oparto na systemie twierdz — i najsilniejszą z nich był ów Krak, zwany również przez Arabów Jamra al Frangi (Płomień Franków).

Wybrano ważny punkt strategiczny, mianowicie drogę, jaka otwiera się od położonego w odległości 50 km. jeziora Homs ku Trypolisowi. Wzgórze, opadające w dół stronami urwiskami, podwyższono sztucznie o 20 metrów i na tej podstawie wzniesiono potrójne grube mury. Szereg wież ze strzelnicami miał utrudniać zbliżenie się do nich. Nad całą

budowlą panuje zbudowane w środku ogromne zamczysko w stylu romańskim. Burgundzką odmianę tego stylu reprezentuje kaplica, która długo była meczetem, a teraz zapewne stanie się napowrót kaplicą. W lochach pod nią spoczywają zwłoki wielu krzyżowców, przede wszystkim sławnego Godfryda de Joinville, którego współcześni sławili jako wzór bohatera, a który po długoletnich bojach trzeciej i czwartej krucjaty osiadł w Krak, ażeby tam dokonać żywota.

Wielka sala rycerska zbudowana jest w stylu romańsko-szampańskim. Nad wejściem widnieje napis:

Sit tibi copia,
Sit sapientia,
Formaque detur,
Iniquat omnia sola
Superbia si comitetur.

(Możesz mieć bogactwo, mądrość i piękność, wszystko popsuje pycha, jeśli będzie im towarzyszyła).

Za czasów zarządu francuskiego w Syrii przeprowadzono restaurację Krak des Chevaliers, bacznie jednak zwracając uwagę, aby nie nadać warowni ani cienia wyglądu nowożytnego. Dotychczas zajmowało ją paruset bezdomnych Syryjczyków — i jeden, jedyny Francuz, porucznik, zarządzający okresem, liczącym 35.000 ludności.

Jan Szarzyński.

Wynalazca litografii

Temi dniami upłynęło 100 lat od daty śmierci Alojzego Senefeldera, wynalazcy sztuki litograficznej. Senefelder, urodzony w Pradze, po długich i mozolnych próbach doszedł wreszcie w roku 1798 do wynalazku litografii, nazywanej „drukami chemicznymi”.

We dwa lata później jedzie do Wiednia; by tam uzyskać rodzaj patentu na swój wynalazek i urządzić pierwszy zakład litograficzny.

Sprawy potoczyły się trybem, niemal utartym i zwykłym, o ile idzie o wszelkie nowości: wydelegowana przez wiedeńską Akademię specjalna komisja wyraziła się o nowym wynalazku bardzo krytycznie, nie rokując mu żadnej przyszłości. Drukarze, rytownicy, zaprotestowali energicznie przeciw tej inowacji. Ostatecznie, po długich debatach skończyło się na tem, że Senefelder uzyskał tylko licencję na prowadzenie swego przedsiębiorstwa.

Znaleźli się jednak ludzie, którzy zdawali sobie sprawę z właściwego znaczenia i całej doniosłości tej nowości, — w szczególności hrabia von Saurau oraz wysoki dostojnik dworski Hartl von Luchsenstein, który kosztem 40

tyśięcy florenów urządził we Wiedniu przy Kaiserstrasse pierwszy wielki zakład litograficzny. Wielki rozwój tego zakładu datuje się od chwili, gdy Senefelder wszedł w bliższy kontakt z wielkim przemysłowcem angielskim, Thorntonem, właścicielem wielkiej tkalni maszynowej pod Wiedniem. Technika litograficzna znalazła teraz olbrzymie zastosowanie przy drukowaniu deseni na materiałach, dając ogromną oszczędność pracy, czasu i kosztów.

Senefelder zostaje dyrektorem fabryki, której produkcja rośnie z dnia na dzień. Z chwila jednak wprowadzonej przez Napoleona blokady kontynentalnej i odcięcia Anglii od fabryk angielskich, fabryka zaczęła upadać w szybkim tempie. Hartl stracił cały swój majątek, a Senefelder wraca do Monachium niemal bez grosza.

Fortuna zdawała mu się uśmiechać w jakieś piętnaście lat później. Przybył do Wiednia na specjalne zaproszenie, przyjmowany z należnymi honorami, — i urządził zakład litograficzny dla kanclerza Metternicha. Gdy mu jednak zaproponowano objęcie posady dyrektora tajnej drukarni państwowej, Senefelder odmawia. Ważniejszą dla

niego jest dalsza praca i doświadczenia w kierunku udoskonalenia swego wynalazku.

Raz jeszcze nazwisko wynalazcy staje się głośnie. Było to w roku 1809, kiedy Napoleon zetknął się z królem bawarskim Maksymilianem w Dillingen, obiecując mu znaczne powiększenie terytorjalne królestwa, jako przeciwwagę wobec rosnącej potęgi Prus.

Wówczas to, za inicjatywą bibliotekarza von Aretina, który Senefeldera urządził w Monachium zakład litograficzny, wygotował Senefelder w ciągu paru dni pierwsze barwne mapy litograficzne, na których uwidocznione zostały granice Bawarii za panowania Karolingów, Welfów i Wittelsbachów. Mapy te, rozpowszechniane w wielkich ilościach, wywołały swym ukazaniem się prawdziwą sensację, zarówno swą treścią, jak i techniką wykonania.

Sztuka litograficzna rozpowszechniła się szybko po całej Europie. W pierwszej linii zainteresowali się nią Francuzi, gdzie po upadku Napoleona stała się niesłychanie popularną, służąc w dużej mierze propagandzie politycznej.

(kr.)

Brody i fryzury męskie w różnych epokach

O tem, jak wyglądały fryzury i twarze męskie w epokach najdawniejszych, dokładnie opowiadają nam posągi, biusty, płaskorzeźby, malowidła na grobowcach, na murach świątyń, na wazach... wreszcie monety, a także szczegółowe opisy w kronikach i życiorysach wielkich mężów... W Egipcie starożytnym arystokracja nosiła długie, mniej więcej do koca uszu sięgające włosy, do golonej zaś, bezwzględnie przyklejała sztuczne, na różne kolory farbowane, — kłnówate lub długie, wąskie prostokątne brody.

Kapłani golili głowę i twarz całą; — faraon, który był jednocześnie arcykapłanem i najznakomitszym arystokratą — golili głowę, nosił jednak przyklejoną brodkę.

U ludów semickich broda była zawsze jedną z najważniejszych ozdób mężczyzny, dodawała mu powagi i majestatu: długie ogromne brody mieli patriarchowie żydowscy i władcy babilońscy czy fenicy, — królowie zaś assyryjscy jak najstaranniej pielęgnowali brody, fryzując je i barwiąc przeważnie na czerwono.

Ludy aryjskie, aczkolwiek mają dużą skłonność do obfitego zarostu, raczej goliły brody: tak np. u Medów i Persów brodę spotykamy znacznie rzadziej, niż w Babilonii i Assyrii, — podobizny Cyrusa i jego pierwszych następców przedstawiają nam tych znakomitych Persów, jako mężczyzn o dość długich, ciemnych włosach, ogolonej brodzie i dużych ciemnych wąsach.

U starożytnych Greków daje się dostrzec mieszaninę obu powyżej wymienionych typów: obok dostojnej brody, oznaki męskości, dojrzałości i powagi... brody, o której od najwcześniejszych lat marzą młodzieńcy — znajdujemy i ogolone twarze, różniące się od perskich tem, że nie tylko brody, ale nawet wąsów nie posiadają. Tak np. na rzeźbach i płaskorzeźbach, wyobrażających bohaterów z wojny trojańskiej, Agamemnon, Hektor i Ajas, mają wielkie brody, Menelaos i Odyszeusz zarost niezbyt obfity, ale widoczny, — Diomedes natomiast, Achilles i młodzieńcy Parys mają twarze zupełnie ogolone czy zezarżnięte.

Odnosnie Achilleasa warto zaznaczyć, że w stosunku do tego największego bohatera wśród mężów achajskich sztuka grecka, — tak samo, jak nie raz i sztuka czasów późniejszych — stosuje bardzo ciekawy i charakterystyczny chwyt artystyczny: nadawania postaciom jak najbardziej męskim, silnym, bohaterskim — twarzy subtelnej, kobiecej niemal — kołbiec, a nie zniewieściałej — a przecież z twarzy tej przebiega nadludzka moc i heroizm, stokrotnie spotęgowane przez delikatność rysów i brak cechującego mężów zarostu. Tak np. obok Apollina Belwederskiego — w przeciwieństwie do Zeusa — bóg wojny, niepomahowany, groźny i potężny Ares ma na rzeźbach twarz zawsze pozbawiona zarostu.

W epokę Aleksandra Wielkiego i jego diadochów i epigonów brody i wąsy znikają zupełnie, — pozostają ogolone, kobiecego nierzadko wyraz mające twarze, obramowane długimi włosami (por. rzeźby Aleksandra Wielkiego, monety z podobiznami Seleuka, Ptolomeusza i innych). Zarazem w państwach hellenistycznych, sąsiadujących z semickimi wschodem (Egipt, Syria, Pergam, Pont) przychodzi nawrót do włosów bujnych, ale raczej krótkich, ozdobionych obręczami, — i do bród — tę samą modę widzimy w Kartaginie.

W Rzymie za czasów królów panuje broda, — nie wyrugowały jej jeszcze nawet pierwsze lata Rzeczypospolitej, jak to widać z podobizny wielkiego patryjoty i republikańskiego Juniusa Brutusa z początku V w. przed Chr. Późniejsze jednak czasy przynoszą zupełne zniknięcie brody i w ogóle zarostu na twarzy Rzymianina: do historii i do sztuki typ rzymski przechodzi z ostre rysy gładko wygolonej twarzy i z krótkimi włosami na głowie, nierzadko golonej (por. biust Scypiona Afrykańskiego). Za imitatorów wraz z innymi wpływami wschodu wraca do Rzymu broda, którą widujemy u Hadryana i u Marka Antoniusza. W obrotu następ-

nych cesarów.

Ludy germańskie odznaczają się obfitym zarostem: mają przeważnie długie, bujne, często kędzierzawe włosy, zawsze duże, nieraz ku dołowi zwisające wąsy; — niektóre szczepy noszą duże brody, inne nie — np. Wizygoci i Frankowie. U Franków królowie z dynastji Merowingów, — w odróżnieniu od szlachty, noszącej włosy spadające na ramiona, zbierali włos w długi, kształt grubego warkocza mający, przewiązany wstążką — czub.

W Cesarstwie Bizantyńskim pod wpływem starogreckim, a potem i cerkiewnym — ustala się nie moda już, ale nakaz noszenia długich, majestatycznych bród; — zwyczaj ten przenosi się i do Rosji, gdzie panują aż do reformy Piotra Wielkiego na początku w. XVIII.

Na zachodzie Europy w średniowieczu widzimy włosy długie, nie takie jednak jak u Franków za Merowingów, — starannie fryzowane, zazwyczaj zupełnie takie same, jak modne przed paru laty fryzury kobiece (styl Greta Garbo); brody albo zapuszczano, albo nie, — wąsy jednak noszono zawsze aż do w. XV, kiedy to ustala się typ zachodniego Europejczyka z ufrizonowanymi włosami i zupełnie ogoloną, a więc i bezwąsą twarzą (podobizny Wawrzyńca Wspaniałego, cesarza Maksymiljana).

Wraz z renesansem sztuki antycznej przychodzi ponowna fala mody na brody, albo niedużę, ledwie obramującą twarz (król francuski, Franciszek I), albo wielką, patryarską niemal (papież Juljusz II, Leonardo da Vinci, Karol V). W ostatnich latach panowania Franciszka I. (połowa XVI w.) ustala się moda strzyżenia włosów: rzekoma geneza tej mody ma charakter zupełnie przypadkowy — król ranny w głowę, w celach higienicznych ostrygił włosy, — a wśląd za nim strzy-

ją poczeli wszyscy.

W połowie wieku XVI, ustala się typ mężczyzny, krótko strzyżonego, brodatego — przyczem broda ta jest albo duża, długa i wachlarzowata (Henryk VIII na portrecie Holbeina, u nas Zygmunt August, Samuel Zborowski, — czy Mikołaj Radziwiłł w „Kazaniu Skargi“ Matejki) — albo też mała, wąska, krótka, ostra bródka typu hiszpańskiego, pozostawiająca policzki ogolone i wąsy średniej długości, zakręcone na końcach i często uniesione nieco ku górze (Filip II, don Juan d'Austria, cesarz Ferdynand II, u nas król Zygmunt III). Moda ta przenosi się na XVII w., gdzie bródka rozszerza się wydłuża, nabiera regularnego charakteru i wreszcie otrzymuje nazwę szwedzkiej (Wallenstein i Gustaw Adolf na portretach Van Dycka), — jednocześnie powraca, już w początkach w. XVII moda na długie fryzowane włosy, spadające na ramiona (król ang. Karol I, według Van Dycka, a typ muszkietiera francuskiego, u nas król Władysław IV, i Krzysztof Arciszewski). Im dalej w wiek XVII, tem bródka maleje, a włosy rosną, zachodzą już poza ramiona prawie, by przy samym końcu stulecia zamienić się w olbrzymią grzywę, często malowaną na najróżniejsze kolory, najchętniej na płowy, na barwę lwiej grzywy.

Częstokroć osoby, nie mogące zapuścić naturalnej grzywy, — goliły głowę, a wkładając perukę, która coraz to modniejszą staje się u progu XVIII w. Około r. 1700 grzywa zwykle nie jest farbowana, ale pudrowana — z twarzy znikają nie tylko resztki bródki, ale i wąsy, — od roku zaś 1720 datuje się powszechne przejście do pudrowanej, olbrzymiej grzywy do pudrowanej również peruki z warkoczem. Warkocz i goła, starająca się jak najbardziej przypomnieć kobiecą

twarz królową, niepodzielnie — we Francji do rewolucji francuskiej; kiedy to wraca moda na długie, naturalne włosy, spadające na ramiona, — w innych zaś państwach do końca wieku, w którym to czasie perukę wypiera krótka, a bujna często rozwichrzona, t. zw. romantyczna czupryna, której towarzyszą zwykle krótkie, a potem coraz to dłuższe, faworyty. Początek tej nowej modzie miał dać Jerzy Brian Brummel, wybitny prawodawca mody, za rządów Jerzego III. i IV.

W ciągu pierwszej i początku drugiej połowy XIX stulecia utrzymuje się moda faworytów — bokobrodów, które im dalej, tem bardziej przybierają na rozmiarach, aż wreszcie stwarzają popularną modę a la Franz - Joseph, polegającą na zlanu się olbrzymich faworytów z zawieszonymi wąsami, przy gładko golonym podbródku. W drugiej połowie ubiegłego stulecia wraca — lansowana przez Paryż Napoleona III. — moda odrodzonej hiszpańskiej, ostrej bródki i długich ostro zakończonych wąsów. W ogóle koniec w XIX — to powrotna fala bród, które z ostrych ala Napoleon III zamieniają się w szereg typów najrozmaitszych i najswobodniej indywidualizowanych.

W pierwszym lat dziesiątku XX w. wychodzi z krajów anglosaskich i rozpowszechnia się po całym świecie moda twarzy wygolonej, albo ozdobionej wielkim, ku górze zakręconym wąsem (cesarz Wilhelm II.), albo małym, angielskim wąsikiem; — po wojnie zaś światowej wraz z innymi akcesorjami kultury amerykańskiej — wtargnęła do Europy po dzień trwająca moda gładko ogolonej, bezwzględnie przyklejonej, również i fryzura męska — zawsze krótka od początków XIX wieku — ulega w naszych czasach największemu uproszczeniu.

(p. t.)

0 reakcji w odbiornikach radiowych

1) Sposób działania.

Zadaniem reakcji, inaczej sprzężenia zwrotnego w odbiornikach radiowych jest zwiększenie ich czułości oraz selektywności, a pozatem wykorzystanie do pewnych granic zdolności amplifikacyjnych lampy detekcyjnej. Praktycznie biorąc, daleki odbiór zapomocą małych odbiorników jest możliwy tylko dzięki zaletom układu reakcyjnego. Z drugiej strony zbyt silna reakcja uniemożliwia i zniekształca odbiór radiofoniczny, a to w ten sposób, że wywołuje drgania własne, które przedostają się do anteny, następstwem czego jest promieniowanie i zakłócanie odbioru w mniejszym lub większym promieniu, sąsiadującym radiosłuchaczom. Reakcję urządza się przy lampie, spełniającą w odbiorniku funkcję detektora przez dodanie jej t. zw. obwodu reakcyjnego, którego zadaniem jest oddziaływanie na dostrajany obwód siatki tej samej lampy. Oddziaływanie to polega na przenoszeniu większej lub mniejszej ilości energii elektrycznej o charakterze wielkiej częstotliwości z obwodu anodowego lampy do obwodu jej siatki, skutkiem czego tłumienie tego ostatniego obwodu — w zależności od przekazywanej mu energii — podlega w znacznym stopniu, lub mniejszym stopniu obniżeniu. Tłumienie więc obwodu siatki jest tym czynnikiem, który decyduje o jego ostrości dostrojenia i to jest istotą reakcji.

2) Rodzaje reakcji.

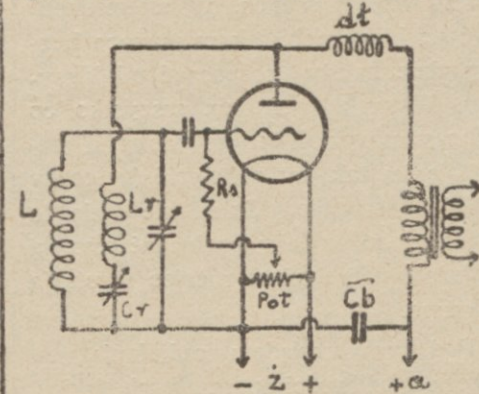
W układach odbiorczych istnieją dwa zasadnicze rodzaje reakcji 1) sprzężenie zwrotne indukcyjne, 2) sprzężenie zwrotne indukcyjno - pojemnościowe.

Pierwszy rodzaj jest najprostszym w konstrukcji, za to w pracy charakteryzuje go pewna niestalość. Drugi sposób jest bardziej doskonały i dlatego jest najczęściej stosowany.

3) Reakcja indukcyjna

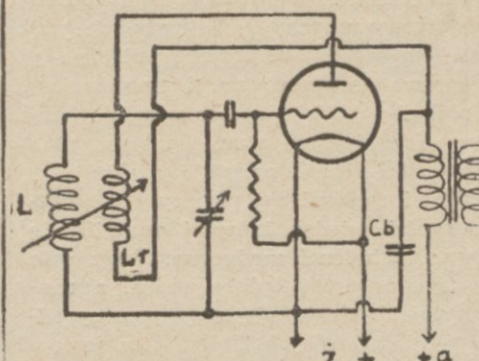
Rysunek 1-szy przedstawia detektor lampowy z reakcją indukcyjną. Energia elektryczna, o charakterze wielkiej częstotliwości, przenosi się drogą indukcyj-

na z obwodu anodowego do obwodu siatki za pośrednictwem cewki reakcyjnej „Lr“, sprzężonej z cewką obwodu siatki „L“. Ilość przekazywanej energii zależy od stopnia sprzężenia wspomnianych cewek, którego regulację skutecz-



nia się przez zbliżanie lub oddalanie cewki „Lr“ od cewki „L“. Im cewki są względem siebie bliżej, tem stopień sprzężenia jest silniejszy, tem więcej energii przedostaje się z obwodu anodowego do obwodu siatki lampy i odwrotnie. Ponieważ przy reakcji wykorzystuje się tylko część energii wielkiej częstotliwości, przeto resztę jej należy odprowadzić do ziemi. Czynność tą spełnia kondensator „Cb“, którego pojemność nie powinna przekraczać 2000 cm. Większa pojemność wpływa na jakość odtwarzanych — zwłaszcza wyższych — tonów fonicznych.

4) Reakcja indukcyjno - pojemnościowa.



Schemat detektora z reakcją indukcyjno - pojemnościową przedstawia nam rys. 2. W tym układzie cewka reakcyjna „Lr“ jest umieszczona na stałe obok cewki „L“, zaś regulację sprzężenia zwrotnego spełnia kondensator zmienny „Cr“ o maksymalnej pojemności około 300 cm. Kondensator ten stanowi w obwodzie prądów wielkiej częstotliwości zmienny opór pojemnościowy, który jest tem mniejszy, im większa jest pojemność kondensatora i odwrotnie. Zmieniając więc pojemność kondensatora umożliwiamy przedostawanie się z cewki „Lr“ do cewki „L“ większej lub mniejszej części energii. Aby prąd wielkiej częstotliwości zmusić do przechodzenia przez kondensator „Cr“ do cewki „Lr“ a nie do źródła prądu anodowego, wstawiamy w obwód anodowy diodę „d“, który powinien mieć stosunkowo duży opór indukcyjny i możliwie małą pojemność własną.

Ważną rzeczą dla dobrego działania detektora lampowego z reakcją jest również trafne dobranie napięcia siatki lampy, detektorowej. Jeśli bowiem to napięcie jest za bardzo dodatnie, reakcja jest „za twarda“, w przeciwnym razie — „za miękka“. W związku z tem nie jest rzeczą obojętną, czy opór siatki „Rs“ łączy się z plusem czy też z minusem żarzenia. Również i wielkość oporu „Rs“ wiąże się w pewnej mierze z tą sprawą i należy ją dobrać praktycznie w zakresie od 1 do 4 megomów. Dobrze jest też stosować w takich wypadkach potencjometr o oporze 500—1000 omów, — jak to wskazano na rys. 2.

Piękny wiek

W lutym pochowano na cmentarzu Bally common w Noth Offally w Irlandji Mrs. Katarzynę Brickland, urodzoną w r. 1811. pamiętała ona — dziś, w wieku aut i aeroplanów — wprowadzenie na wyspie dylizansów. „Zawsze lubiłam pracę, temu zawdzięczałam długie życie i dobre zdrowie“, zwykła była mawiać.

Miasta i mieszczaństwo w dawnej Polsce

Pod powyższym tytułem ukazało się na półkach księgarskich dzieło pośmiertne ś. p. Prof. dr. Jana Ptaśnika, wydane przez Polską Akademię Umiejętności.

Zmarły prze laty czteru Prof. Ptaśnik dał nauce polskiej i społeczeństwu owoc swych wieloletnich studiów nad dziejami miast w Polsce, dał syntezę tego odcinka dziejów kulturalnych, gospodarczych i politycznych Polski, na który oddawna czekała daremnie polska nauka historyczna. Wartość tej syntezy, opartej na szeregu gruntownych studiów autora i innych badaczy tej dziedziny, oceni niewątpliwie w najkrótszym czasie fachowa krytyka; na tem miejscu trzeba jednak już zgóry bardzo silnie podkreślić, że dzieje miast i mieszczaństwa w Polsce prof. Ptaśnika, to książka, która staje odrazu w szeregu najcenniejszych publikacji w dorobku polskiej nauki historycznej, to książka, która będzie jedną z fundamentalnych podstaw do poznania naszej przeszłości dziejowej.

Jest ona publikacją w najściślejszym tego słowa znaczeniu naukową, służy jednak równocześnie, dzięki własnościom umysłu i stylu pisarskiego ś. p. Autora, każdemu wykształconemu czło-

wiekowi, który zechce czerpać stamtąd potrzebną mu wiedzę i materiał. Stała się książką w jednym szeregu z wielkimi syntezami Balzera i Kutrzeby (ustrój Polski), Brücknera (dzieje kultury), Abrahama i Wotschkego (dzieje kościelne), Korzona i Kukiela (dzieje wojskowości), Grabskiego Wł., Bujaka i Rutkowskiego (dzieje gospodarcze i wsi polskiej), Kota (dzieje wychowania), nie mówiąc już o szeregu dzieł z historii politycznej Polski (Encyklopedia A. U., i t. p.).

W tym korowodzie znamienitych nazwisk badaczy naszej przeszłości i ich dzieł staje nazwisko ś. p. Prof. Ptaśnika, który przed wszystkimi innymi był powołany do tego, aby tę lukę w naszej historjografii wypełnić, i wywiązał się z tego zadania w sposób, który tylko chlubę przynieść może polskiej nauce historycznej. Wielka i gruntowna wiedza, metoda badawcza, stojąca na poziomie najwyższym, a równocześnie ujmująca swoją jasnością, zwartością i poletem cechy kunsztu pisarskiego ś. p. prof. Ptaśnika dały do rąk naukowców, młodzieży uniwersyteckiej a także szerszej czytającej publiczności interesującej się temi zagadnieniami, dzieło, które na długie, długie lata pozostanie jedynym, zaufania

godnym źródłem wiadomości o przeszłości dziejowej miast i mieszczaństwa polskiego.

Książka ta porusza kapitalne i najbardziej podstawowe zagadnienia z dziejów miast w Polsce; poczynając od genezy miast średniowiecznych, którą autor znajduje w pierwszym rzędzie we Włoszech, przechodzimy z kolei do ustępów traktujących o władzach miejskich, ustroju społecznym (patrycjat i pospólstwo), administracji miejskiej, stosunku miast do państwa, roli szlachty w życiu dawnych miast, o tak ważnym zagadnieniu jak problem narodowościowy (Niemcy i rola żydów w miastach), i kończy wymownym a równocześnie smutnym opisem upadku miast w w. XVII i XVIII, oraz ich chwilowego dźwignięcia się w drugiej połowie XVIII-go w. Książkę zamyka nader barwny i interesujący ustęp o życiu i wyglądzie wewnętrznych miast dawnej Polski.

Dzieło to przygotowała z rękopisu do druku uczennica ś. p. Zmarłego Profesora dr. Łucja Charewiczowa, od której też pochodzi indeks osobowy i rzeczowy. Przedmowę napisał prof. Bujak, kolega i przyjaciel Zmarłego Profesora.

J. L.

cierpi już przez zbytne przeładowanie programów szkolnych, wyrabiające w nim raczej skłonność do mechanicznej apercepcji niż do zastanawiania się i refleksji.

Zasadnicza jest różnica między tą kulturą, która wzbogaca naszą inteligencję, a tym strumieniem słów, określeń i faktów, który dostatecznie obficie płynie z każdego, przeciętnego podręcznika.

Z programów radiowych należy wybierać to co dotyczy i pogłębia kulturę w najszerzym jej znaczeniu, a odrzucać te wszystkie informacje, które wraz z potrzebą można znaleźć gdzieindziej.

Oto garść wskazówek: może to za mało, może wyczuwa się, że należałoby pomówić o nich szerzej, każdy jednak radiosłuchacz może z nich skorzystać według własnego przekonania i upodobań. Piszemy o nich, gdyż jest już wielu radiosłuchaczy, którzy się temi metodami kierują, którzy wykazują, że właściwe, celowe użytkowanie radia da się ująć w pewne reguły i że radiowe możliwości dadzą rozwijać się harmonijnie i skutecznie.

Niestety! Ta praca dobra i pożyteczna ma u nas minimalne zastosowanie. Ogół radiosłuchaczy korzysta z radia bardzo dorywczo i bezplanowo. Słuchacze posiadający odbiorniki kryształowe skazani są co prawda na słuchanie stacji lokalnej, lecz wymagają od niej wyłącznie rozrywki i na ciekawe, kształcące audycje są zazwyczaj głusi. Posiadacze odbiorników lampowych zwykli kłębić kondensatorem, pasjonują się chwytaniem jak najliczniejszych stacji zagranicznych, lecz interesują ich raczej techniczne możliwości ich odbiorników, zasięg ich i selektywność, treść zaś łapanych fal pozostaje dla nich na planie ostatnim.

Jeżeli porównamy słuchanie radia z czytaniem gazet lub wydawnictw periodycznych i zastosujemy te same metody, to programy radiowe automatycznie staną się dla nas znacznie ciekawsze. W dziennikach prenumerowanych czytamy wszystko co zawierają, poza rubrykami, które specjalnie nas interesują zatrzymujemy się na artykułach i informacjach, które w nich znajdujemy i nie mamy pretensji do redakcji, że w piśmie codziennym drukują równocześnie wiadomości polityczne i gospodarcze, naukowe i sportowe, fachowe i osobiste, zamieszczają feljtony literackie i reklamy (pasty do zębów). Rozgłośnia radiowa natomiast miałaby nadawać całodzienny program interesujący każdego radioabonenta z osobna? Czytelnik, spragniony wieści z szerokiego świata, artykułów wychodzących bezpośrednio z pod pióra rozmaitych światowych znakomitości, ciekawych na ilustracje i zdjęcia z zagranicy, nie ogranicza się, jak lampowiec, na odczytywanie nagłówek, że to Ilustracja francuska, a to Sourire lub Graphic, Das interessante Blatt, że to jak w odbiorniku Toulouza a to Mühlacker, lecz czyta, ogląda i smakuje sobie tę odrobinę szerokiego świata. przybyła doń na lśniących kartach tego czy innego periodyku. Jeżeliby radiosłuchacz detektorowy słuchał lokalnego programu, jak czyta swego „Kurjerka“ lub „Poranną“, a lampowiec przy swej superheterodynie zamienił się na bywalca kawiarnianego, który obłożony stosem pism zagranicznych łączy się z Europą, to zadowolonych byłoby niepomiernie więcej, korzyści z radiofonji byłyby prawdziwszą i wzajemne zadowolenie opierałoby się na realnych podstawach.

A. L. C.

Radio i gazeta

Radiofonja winna służyć kulturze.

Ludzkość cierpi przez pogoni za pieniądzem. Pragnie go tyle a tyle, pragnie i więcej. Jedni gonią za pieniądzem koniecznym, i trudno by było inaczej: inni pragną czegoś więcej, bodaj zapewnienia sobie pewnego jutra. I to jest również zrozumiałe. Ależ iluż tak jest tą pogonią pochłoniętych, że zdobywszy już nawet upragnione złoto, zapominają o życiu!

Radiofonja przynosi ludziom elementy twórczości bezinteresownej. Pozwala na bezpośrednie zapoznanie się z nowymi dziedzinami, dostęp do których utrudniała nam potrzeba zaopatrywania się w specjalne podręczniki, utrudniały duże, z tem związane nieraz koszty: poważna zwykle strata czasu.

Dzięki radiofonji człowiek XX-go wieku może umysł swój bogacić tysiącem nowych wiadomości.

Wskazaniem jednak będzie, by użytkownik radiofonji nie rozpraszał się zbyt w masie programów, jakie są mu dostępne.

Wolno mu naturalnie, według gustu i kaprysu chwycić to, co mu w danej chwili dana fala przyniesie, nikt nie weźmie mu za złe, że bawiąc się w chwytanie rozmaitych stacji bezplanowo zatrzymywać się będzie na tem, co go przypadkowo zabawi przez chwilę.

Ale to wszystko, to sztuka w powiśnięciach, to bawienie się nową zabawką, to próby rozrywki nowej. Trzeba myśleć o dniu, w którym zajmujące doświadczenia początków przestaną interesować.

Już dziś znamy radioamatorów, którzy dnia tego dożyli i odbiorniki swe pozamykali. A uczynili źle. Bo właśnie od tego momentu, od chwili gdy namiętność przejdzie, można tem cudownym narzędziem we właściwy sposób zacząć się posługiwać.

W przeogromnym bogactwie programów radiosłuchacz - lampowiec może stworzyć sobie program własny i to na określony przeciąg.

Jeżeli ktoś na przykład jest mało muzykalny to na dorywcze słuchanie koncertów nic nie skorzysta, przeciwnie: znudzi go to wkrótce. Odwrotnie, nawet przy minimum słuchu, można dojść do całkiem solidnej znajomości i rozumienia muzyki, jeżeli się będzie konsekwentnie i logicznie stosować metodę stopniowania i porównywania.

Tak jak w literaturze trzeba (wbrew może metodom szkolnym) zaczynać od pisarzy współczesnych, by potem skończyć na klasykach, tak w muzyce bezwzględnie należy rozpocząć od klasyków. Wyszukuje się np. wszystko co dotyczy muzyki XVIII-go wieku, a słucha się jej tak, by uchwycić jej cechy charakterystyczne. Jeżeli nie idzie to składnie, to należy posłuchać muzyki modern i natychmiast różnice wystąpią jaskrawo.

Pod tym względem radiofonja dostarcza możliwości kulturalnych takich, jakich dotychczas nigdzie nie udawało się połączyć razem, gdyż we własnym domu można posłuchać koncertów setek rozmaitych orkiestr.

Echa wypadków paryskich

Podczas znanych rozruchów paryskich, które doprowadziły do obalenia gabinetu pana Daladier, zaszczytną rolę odegrała stara kawiarnia Weber'a na Rue Royale. Ma ona stare literacko-artystyczne tradycje, lecz jest dziś ogromnym lokalem, mieszczącym, jak zwykle bywa w Paryżu, także restaurację. Bliskość placu Zgody sprawiła, że tam właśnie przyprowadzono pierwszych rannych. Zaopatrzyła ich garderbajana. Gospodarz zorientował się się, że sprawa jest poważna, i natychmiast zakupił w pobliskiej aptece wszelkie bandaż i środki aseptyczne, jakie można było dostać, kazał opróżnić wielką salę jadalną i zaprosił do pomocy na ochotnika gości między którymi znaleźli się lekarze i studenci medycyny. Przez całą noc trwała samarytańska praca, a rannych po udzieleniu pierwszej pomocy odwożono do prawdziwych szpitali, jeszcze na drugi dzień rano. W innych częściach

lokalu podano równocześnie potrawy i napoje, jak zwykle.

Ponieważ gospodynie paryskie obawiały się, że w poniedziałek 12 lutego nie będzie elektryczności ani gazu zaopatrzony w duże zapasy świec i nafty. Ruch handlowy był pod tym względem ogromny. Z gazet skorzystała znów na strajku **Action Francaise**, jedynie obszerniejsze pismo, które można było kupić w tym dniu — komunistyczną **Humanite**, rozdawano za darmo, ale nie wszyscy ją brali. **Action Francaise** roznosił „kameloci królewscy“ elegacko ubrani i nie zapominający o formach towarzyskich, to też gazeta miała bardzo znaczny dochód. Prócz tego ukazały się dwa zbiorowe pisma, prawicowe i lewicowe, lecz miały mniejsze powodzenie.

—0—